

Lachman-Nowakowa, Maria Danuta

Wokół dzieciństwa i wczesnej młodości Wacława Lachmana

Notatki Płockie 33/4-137, 28-32

1988

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wokół dzieciństwa i wczesnej młodości Wacława Lachmana

Dom rodzinny mojego Ojca poznałam około 1925 roku, gdy jako dziecko wraz z rodzicami Janiną i Wacławem Lachmanami przybywałam z Warszawy (gdzie stałe mieszkaliśmy) do Płocka, na zaproszenie Ciotki i Wujka Ojca, Heleny i Władysława rodzeństwa Konwickich. Miałam możliwość poznać i zapamiętać ów dom w kształcie niemal niezmiennym, takim jakim był „wówczas”.

Podróż, której oczekiwałam z niecierpliwością miała miejsce w okresie poprzedzającym Święta Wielkanocne lub w czasie ferii letnich. Odbywaliśmy ją statkiem, w porze nocnej śpiąc w czystych i wygodnych kajutach (w latach późniejszych korzystaliśmy z komunikacji autobusowej, której warszawska stacja początkowa mieściła się przy nieistniejącym obecnie Placu Broni). Pamiętam przystań żeglugi warszawskiej przy ówczesnym moście Kierbedzia (obecnie Śląsko-Dąbrowskim).

Kiedy pasażerowie ulokowali się, a załoga zajęła swoje stanowiska — parowiec dawał sygnał odjazdu głośno buczącą syreną. Natychmiast opuszczano wysoki komin do pozycji niemal poziomej, aby po przemknięciu pod mostem — sprawnie podnieść go do pionu. Statek nabierał szybkości, my zaś, pasażerowie wychodziliśmy na pokład, by spojrzeć jeszcze na oddalającą się światła Warszawy.

Późnym wieczorem, w półnie słychać było miarowy szum koła napędowego, krzątanie na mijanych przystaniach, światła migwały wysoko nad okienkami kabin. Wczesnym rankiem na wylaniających się z mgieł, piaszczystych zboczach coraz wyższych brzegów rzeki widać było kuliste otwory siedzib jaskółek-brzegówek. Wkrótce podziwialiśmy dostojną panoramę grodu Hermana i Krzywoustego. Po wyjściu na ląd, powitał nas niezawodny Wuj Władysław i dorożką pojechaliśmy na Dominikańską, do domu.

Większości spośród rodziny i przyjaciół z okresu dzieciństwa Ojca nie danym mi już było znać osobiście. Jednak postacie te rysują mi się wyraziście dzięki, dawno już przebrzmiałym, rozmowom z Ciotką i Wujem Konwickimi oraz dzięki opowieściom i okazjonalnym wzmiankom o Ojcu, zawsze pełnym ciepła, nie rzadko humoru! Wynikało z nich wielkie, niezatarte przywiązanie do Domu, pełnego łągodności, pulsującego tradycją polską i — do Miasta rodzinnego. Wizerunki osób, rzeczy i spraw z czasów już odległych, bo dziejących się w końcu wieku XIX, gdy Wacław był małym dzieckiem, zawsze mnie żywo interesowały i stały się drogocennymi mymi „korzeniami”.

Klasycystyczna kamieniczka płocka oznaczona numerem jeden przy ulicy Dominikańskiej (obecnie Pla-

ce Obrońców Warszawy) stanowiła własność i siedzibę rodziny Konwickich¹ i była domem rodzinnym mojego Ojca. Mimo wielu burz ostała się i trwa nadal służąc swym kolejnym mieszkańcom. Wnętrze jej oraz dziedziniec i ogród uległo szeregowi gruntownych przeobrażeń, niestety przeważnie niefortunnych, lecz wygląd zewnętrzny budowli pozostał nienaruszony.

Znakomicie usytuowany w centrum miasta, z zieloną perspektywą rozległego skweru — dom utrzymany był schludnie, do czego przyczyniali się sami lokatorzy, zarówno „paradnego” frontu jak i drewnianej oficynki — ludzie spokojni, pracowici i pogodni. Wejście od ulicy wiodło po kilku wygodnych schodkach do sieni i w głąb posesji. Pojazdy wjeżdżały przez bramę, otoczoną murem ciągnącym się wzdłuż ulicy. Nad bramą umieszczony był (i jest choć drzę o jego dalsze istnienie) gipsowy medalion z wyobrażeniem głowy ni to dworzanina, ni to strzelca. Nigdy nie dochodziłam kogo przedstawia, kto jest autorem, skąd rzeźba się wzięła... Dla mnie jest to wizerunek bogstwa, dobrośliwego opiekuna domostwa. Oby nie zginął.

Za bramą wjazdową rozciągało się w kształcie litery „L” podwórze, wybrukowane kamieniami polnymi. Część tej „litery” pełniła zadania gospodarcze, część jak to się dziś mówi — rekreacyjne. W tej części znajdował się wodociąg, dostępny dla wszystkich mieszkańców domu. Miał obudowę żeliwną z ozdobą w postaci wielkiej muszli morskiej i nie muszę zapewniać, że woda była źródłana — przeźroczysta i orzeźwiająca. Pozostawało sporo miejsca dla zabaw dziecięcych, np. chłopcy, od kilku pokoleń, strzelali z łuku do słomianej tarczy, umieszczonej w bezpiecznym kąciuku, zaś dziewczynki grały w „klasy” lub w „serso”. Na uboczu, w suche dni wiatr przedmuchiwał wiszącą na sznurach upraną bieliznę. W tej części dziedzińca znajdowała się furtka, wiodąca do okolo-nego zielonymi sztachetkami ogrodu należącego do właścicieli posesji.

Ogrodem tym mającym charakter kwiatowo-owocowy zajmował się z zamiłowaniem, umiejętnością i dużym nakładem pracy Wuj Władysław Konwicki. Nie wiem jaką ogród zajmował powierzchnię. Obecnie myślę, że nie był zbyt duży, jednak dzięki obfitości krzewów, mieniających się różnymi kolorami w każdej porze roku i wychylających swe gałęzie poza ogrodzenie — czynił wrażenie bujnej głębi... Środkiem biegła niefrasośliwie ścieżka, z roku na rok coraz bardziej zwięzająca się pod naporem fiołków, konwalii i narcyzów, a bieg swój kończyła przy małej altanie, zwieńczonej różowo świecącym czubem. W pobliżu altanki, wśród kęp jaśminów znajdowały się małe drzewczki

w murze, stale zamknięte prowadzące do sąsiedniego ogrodu (bodaj rodziny Bębenkowskich). Przejście to odegrało znaczącą rolę w krytycznych chwilach paru osób z rodziny.

Mówiąc krócej: ogród był nieco dziki i piękny. W lecie, po deszczu dyszał taką świeżością, że przylatywały tu aż zza Tumu błękitne motylki, co bardzo cieszyło Wuję. Starannie pielęgnowane były róże, irysy, ostróżki, bratki, rezeda, astry, dalej, późno-jesienne fioletowe marcinki... Z owoców pamiętam przede wszystkim gruszki o jakimś niepowtarzalnym smaku i niespotykanym aromacie, które ponoć, według słów monografisty Plocka, biskupa A.J. Nowowiejskiego udawały się tylko na ziemi plockiej. Nadto: śliwki węgierki i francuskie, orzech włoski i parę odmian agrestu. Pod jesień smażyło się w ogrodzie powidła i konfitury w wielkim, miedzianym rondlu. Parę gipsowych rzeźb, których pochodzenia i autorstwa nie znałam, dopełniało starożywieckiego wystroju całości.

Wuj Władysław dzierżył klucze od swego królestwa, ale muszę się pochwalić, iż mi ufał i gdy poprosiłam — wręczał mi je. Zapraszałam wówczas znajome dziewczynki, które także czuły się wyróżnione i spokojnie bawiłyśmy się w „dom” na ławce, pod bzami. Ogród dzieciństwa mojego Ojca stanowił dla mnie, poza zrozumieniem jego praktycznych korzyści, oazę piękną i tajemniczości.

Rodzina Konwickich i Lachmanów zajmowała obszerne mieszkanie na parterze opisanej kamieniczki. Całe, bez wyjątku, pomalowane na biało było zwrócone oknami na dziedziniec i dalej na ogród, który łączył się z innymi i skąd bez przeszkód płynęły ożywcze zapachy. Wysokie okna zapewniały dużo powietrza i światła. Lokal posiadał instalację sanitarną i był wyposażony w dostępne dla „średniej kieszeni” różne udogodnienia, o które dbał Wuj Władysław, zwany z uznaniem „Panem Dziedzicem”. Kafłowe piece, dzięki wysiłkom domowników utrzymywały w okresie zimowym temperaturę 18°C w całym pomieszczeniu. Grube mury domu pozwoliły urządzić doskonałą spiżarnię, która nawet w czasie upałów spełniała rolę chłodni. Ogólnie dom sprawiał wrażenie dobrze zagospodarowanego, pełnego ładu i przytulnego.

Korytarz pełnił rolę przedpokoju i dalej prowadził do pokoi i do pomieszczeń gospodarczych. Tu był stale ruch, ktoś się kręcił, witał lub żegnał. Ważny przede wszystkim był stołowy oraz salonik zwany wtedy salką. Te dwa duże pokoje były najładniej urządzone i służyły domownikom i gościom. Reszta — to małe pokoje sypialne, urządzone skromnie, choć wszystkie z oryginalnymi firankami, co było dziełem Ciotki Heleny.

W stołowym było zawsze najcieplej i najzaczisniej. Wzdłuż jednej ze ścian stała kanapa z drewnianą, pofalowaną ramą, obok niej zegar wiszący, na którego emaliowanej tarczy namalowany lew wodził oczami, w takt postępującego czasu. Przed kanapą — stół, który służył wiernie już kilku generacjom. Starannie wykonany z wonnego drewna, mógł być dowolnie powiększany, dzięki trzem ruchomym kłapom. Nad stołem lampa z abażurem, światłem swoim jakby zakreślała krąg bezpieczeństwa. A przecież zarówno burze, rozterki i dramaty jak i radości czy sukcesy nie omijały zasiadających przy tym stole, lecz nastrój tego zakątka ściszał wszelkie bóle i niepokoje, łagodził emocje... Nadto w jadalni znajdowały się: foteli-

ki, serwantka z porcelaną, podręczna szafka i małe obecnie znany, parawan. I wreszcie, na dalszej ścianie, dominujący akcent — kilim o pięknie szarmonizowanych barwach, trochę wyblakłych, stanowiący tło dla polzaczanego, szerniałego ryngrafu z wizerunkiem Matki Boskiej i Orła Białego. Przed tym ryngrafem, przez cały miesiąc odbywały się nabożeństwa majowe, którym przewodziła Ciotka Helena. Uczestniczyły w nich dzieci i młodzież z bliskiego sąsiedztwa, w tym i ewangelicy i prawosławni, ze starozakonnymi włącznie, np. mądrą i uroczą Gucią Piechotkową. W przerwach między odmawianą litanią słychać było z ogrodu głosy ptaków. Ta prosta, pełna ufności modlitwa poruszała serca młodzieńskich uczestników i na długo w nich pozostała.

Salonik czyli salka prezentowała się kompletem mebli, wykonanych z matowo-poblyskującego, ciemnego drewna, pokrytych granatowym rypsem we wzór z różowych jabłuszek. Na owalnym stole — duża nąftowa lampa, z kłosem w secesyjnym motywie roślinnym oraz wydawnictwo, zawierające odbitki cennych sztychów Napoleona Ordy, zatytułowane „Album widoków Polski”. Ze środka sufitu sphywał na pokój nieduży żyrandol z kryształowymi sopłami.

Z ponad kanapy, z dwu olejnych portretów oprawionych w ciemne ramy spoglądały oczy: kobiety o miłej, młodej jeszcze twarzy, w koronkowym czepeczku dostojnej matrony oraz mężczyzny o ujmującym spojrzeniu, ubranego w mundur „sądownika”. Były to konterfekty Katarzyny z Czapllickich i Walentego, sędzkiego Grochowskich, rodziców Seweryny z Grochowskich Konwickiej, a pradiadków mego Ojca. Ich podobizny, sugestywnie przez nieznanego mi z nazwiska malarza przedstawione, budziły respekt i jakby dodawały energii. Naprzeciw okien miał swoje miejsce mały mahoniowy stolik, na którym stało parę bibelotów oraz puzderko z kartami do gry i przyborami do zabawy w „pchelkę”. Pamiętam, iż ze sprząciku tego, w pogodnie przedwieczory zachodzące słońce wydobywało rubinowe lśnienia. Zwiewne, białe firanki i błyszcząca posadzka dopełniały wrażenia czystości i elegancji saloniku.

Specjalnie parę słów należy się fortepianowi, który odegrał doniosłą rolę w życiu rodziny. Zajmował jedną stronę komnatki i mimo, iż dawno antyk zachował zadziwiająco wyrównane brzmienie i sprawność techniczną. Wydłużonego kształtu, w obudowie z drewna w kolorze brązowym miał klawisze jak gdyby z kości słoniowej. Pokrywa na klawiaturze składała się z kilku części, „odwijanych” na zawiasach. Przy instrumencie tym muzykowało rodzeństwo Konwickich w składzie: Helena — fortepian, Anna — skrzypce, Stanisław — baryton lub, później, Władysław — tenor. Grał na nim i komponował Mirosław Lachman, dzieci jego, Waław i Anna pobierały lekcje muzyki...

Rodzina Konwickich herbu Konwia od dawna zamieszkiwała w Plocku. Wywodziła się z północnego Mazowsza i była spokrewniona lub spowinowacona z całą niemal, średniozamożną szlachtą ziemi plockiej i płońskiej. Wspólną cechą tej dużej grupy ludzi był patriotyzm, wierność tradycji rodzinnej, pracowitość i delikatność w sposobie bycia. Za udział w zrywach narodowych tracili swe dobra ziemskie i osiedlali się w miastach, głównie w Plocku. W nowym środowisku wykazywali się pozytywną, obywatelską postawą, niezrędko zdobywając odpowiedzialne stanowiska i uzna-

nie, np. ubodowniczy Chmieliński (działal w połowie w. XIX), czy Jan Chmieliński, lekarz członek pierwszego zarządu Płockiego Towarzystwa Muzycznego, powstałego w 1900 r. lub Ludwik Czaplicki, który znaczną część swego majątku przekazał na rzecz Płockiego Towarzystwa Dobroczynności. Niektórym np. Strzeszewskim w Ogonowie (okolice Płońska) udało się gospodarować na rodzinnej ziemi aż do lat ostatniej wojny. Prowadzili wzorową gospodarkę rolną i hodowlę koni, a jeden z synów, Henryk zdobywał laury jako reprezentant Polski na międzynarodowych konkursach jeździeckich. Poza już zacytowanymi pozwolę sobie wymienić nazwiska innych krewnych, a więc Bogusławscy, Dunin-Wąsowiczowie, Gąsiewscy, Guttenkunstowie, Klamińscy, Kurkiewiczowie, Łagunowie, Mossakowscy, Ocioszyńscy, Oraczewscy, Oranowscy, Porczyńscy i Szwejkowscy. Dużym szacunkiem i przywiązaniem otaczano kuzyną księżką Juliana-Antoniego Nowowiejskiego, późniejszego bohaterskiego arcybiskupa płockiego. Wszyscy byli chętnie widziani w gościnnym domu Konwickich i Lachmanów. Mały Waciu lubił te odwiedziny, a jako wielki miłośnik widoków nadwiślańskich odważał się zapytywać: A u was jest Wisła? Gdy odpowiedź była przecząca to chłopcu było przykro i myślał sobie, jak oni mogą żyć bez Wisły w pobliżu.

Do najbliższych mego Ojca należeli: rodzice, brat, siostra, babka, ciotka i wuj. Po powstaniu 1863 r. przybył do Płocka młody Czech Mirosław Lachman, absolwent Konserwatorium Praskiego, aby tu objąć stanowisko dyrygenta orkiestr wojskowych (m.in. Pułku Muromskiego). Zdołał dobrze opanować język polski, a swym zapalem, zdolnościami i pracowitością zjednał sobie uznanie muzyków, władz i społeczeństwa. Wkrótce ożenił się z rodowitą płocczanką, liczącą wówczas dziesięć lat — Anną Konwicką, odznaczającą się urodą, wdziękiem, powagą i dobrocią, a poza tym uzdolnioną skrzypaczką — amatorką (Mirosław ofiarował Annie broszkę w postaci miniaturowej skrzypki — znajduje się ona w zbiorach Płockiego Towarzystwa Muzycznego). Ślub odbył się w kościele parafialnym p.w. św. Bartłomieja, państwo młodzi zamieszkało w samodzielny, przyjemny mieszkanek w pobliżu domu rodzinnego Anny, byli szczęśliwi. Wkrótce przyszedł na świat synek, Eugeniusz. Po przeszło dwu latach nastąpił niespodziewany cios — dziecko, po krótkiej chorobie, zmarło. Pogrzeb zgrupował licznych mieszkańców Miasta, którzy w ten sposób pragnęli okazać szacunek dla cenionej muzyka.

W tym samym czasie w domu przy ulicy Dominikańskiej miało miejsce następujące wydarzenie: najstarszy spośród rodzeństwa Konwickich, Stanisław był świadkiem znieważenia imienia narodu polskiego przez wysokiej rangi urzędnika carskiego. Młody patriota, syn powstańca 1863 r., do głębi poruszony, bez chwili wahania — spoliczkował go. Sprawiedliwość została wymierzona, lecz Stanisław musiał natychmiast „zniknąć z pola widzenia”. Nagle zostawił Matkę i wszystko co drogie, by dopiero po roku dać znać, iż jest w Nowym Jorku.

Wkrótce po tych smutnych i burzliwych wydarzeniach Matka Anny, Seweryna² rzeczowo i serdecznie poprosiła, aby Anna i Mirosław zamieszkali razem z nimi w domu rodzinnym, Konwickich. Młodzi Lachmanowie przyjęli zaproszenie i nigdy tego nie żalowali. Drobnym dowodem tego są zachowane rękopisy

dwa kompozycji Mirosława: jednego dedykowanego... swej Teściowej i drugiego, polki-galopki, zatytułowanego „Helunia”, a więc na cześć siostry żony. W tym samym czasie przybyła gospośnia Maryna z Bodzanowa, traktowana jako serdeczny domownik do końca życia.

Wracał spokój i pogoda, tym bardziej, że wkrótce urodził się drugi syn, a potem córka. Dzieci otrzymały imiona: Wacław (drogie Czechom) i Anna (nazywano ją z czeska „Andą”)³.

Rozwijały się pomyślnie, młoda mama promieniała czułością. Babka oraz Helena i Władysław, którzy nigdy nie zmieniali swego stanu cywilnego, a także Maryna, radawali się z nowej sytuacji rodzinnej. Mirosław awansował na inspektora orkiestr nie rezygnując z umiłowanej dyrygentury, sporo pisał. Nie tracił kontaktu ze swą rodziną w Czechach, która często pytała o małego Veneuska czyli Wacka. Orkiestranci chętnie odwiedzali dom Lachmanów, a jeden z nich nazwiskiem Gerłowski ofiarował malcowi bębenek, obciążony ciężką skórą. Chłopczyk nie posiadał się z radości i wybijał przeróżne rytmy na tym prawdziwym instrumencie. Wtedy też wyśpiewywał znaną pieśń włoską „Kobieta zmienną jest” budząc wesołość otoczenia. W naszym posiadaniu jest fotografia Wacka z tego okresu: mały chłopczyk z roztropną miną w ładnym ubranku i bodaj nowych trzewiczkach wygodnie usadowiony w fotelu, z ...batutą w ręku.

Na terenie obszernej posesji Konwickich przebywał jeden kot-domator i siedem piesków. Wszystkie wabiły się muzycznie (Allegro, Finka, Prestik...) Finka, ulubienica Mirosława, nieomylnie, skokami anonsowała jego powrót do domu. Kota — Wacław i Anda potrafili, z wielkiej sympatii, wyszarpywać sobie; aby spał na kółderce jego lub jej. Harmonia i spokój panowały w domu i w duszach jego mieszkańców.

Kiedy Wacek miał niespełna cztery lata — umarł Ojciec w wieku lat 35. Został pochowany w głównej alei Cmentarza Płockiego. Wszyscy, a szczególnie dzieci boleśnie odczuli tę stratę. Długo jeszcze potem Wacekowi zdawało się, że słyszy nad ranem Ojca grającego na fortepianie. Dreptał w koszulinie do saloniku, wypatrywał, nadśluuchiwał, ale to wyobraźnia grała...

Anna cały trud wychowania ukochanych istot wzięła na swoje barki. Ambitna wdowa pragnęła, aby nikt z najbliższych nie ponosił żadnych trudów z tego powodu. Pracowała wiele: poza obowiązkami nauczycielki, podejmowała się różnych prac dodatkowych. Np. z dużym gustem i pomysłowością wykonywała kwiaty do kapeluszy i sukien i dostarczała je znajomej właścicielce domu mody. Pełniła jak zwykle obowiązki rodzinne i domowe, wykonując piękne roboty na drutach czy szydełkiem, np. koldry dla dzieci z włóczki wełnianej, które do dziś są i zachwycają do bórem barw i ściegów. Była zapracowana, ale dla dzieci i bliskich miała zawsze uśmiech i dobre słowa.

Wacek choć taki jeszcze mały, poczuł się opiekunem matki i siostry. Pewnego dnia, gdy dzieciom się zdawało, że Matka długo nie wraca — Wacek cichutko wymknął się z domu, usiadł na schodach od ulicy i wypatrywał... Wkrótce zmorzył go sen. Obudził się w ramionach wzruszonej Matki.

Chłopiec czuł, że będzie pewnie muzykiem, ale... bardzo lubił się bawić w aptekarza. Miał kilka porcelanowych miseczek i innych naczynek, tłuczki, ło-patki i, ze znanych tylko sobie ingrediencji, mieszając i ucierając preparował jakoweś maści i mazidel-

ka. Wyrabiał czernidło do brwi, którego głównym składnikiem była sadza i pomady do czyszczenia obuwia. Babka widząc te starania Wnuka zakupowała wszystko hurtem, nie wchodząc w szczegóły, co czemu ma służyć. Zarobione pieniądze Wacek wrzucał do skarbonki myśląc z zadowoleniem, iż kupi prezent dla Matki.

Dzieci rosły, miały dobre serduszka, potrafiły się skupić, były wrażliwe na piękno. Wacek lubił jasność, mroczne wnętrza sprawiało mu przykrość. Katedra płocka była widna i chłopiec z zachwytem zauważył, iż smugi szafirowego światła, przenikającego przez witraże świątyni są takiego samego koloru jak... hiacyncy, hodowane przez Wujka na Wielkanoc.

Powoli powracało życie do normalnego rytmu. Konwicy i Lachmanowie kontynuowali dawny zwyczaj płocczan udawania się corocznie w dniu święta Matki Boskiej, 8 września na pielgrzymkę i odpust do Skępedo. Krewni i znajomi nadal chętnie odwiedzali ich dom. Jeden z kuzynów inż. Janusz Szweykowski, który z matką swoją i starszymi braćmi był tam wówczas, powiedział mi kiedyś, iż „u Konwických panowała etykieta”. Zastanawiało mnie to określenie: tak, być może, sama pamiętam. Lecz nie były to puste, sztywne formy, a okazywanie wszystkim, w sposób niewymuszony, zrozumienia i szacunku. Na tym to polegało.

Co jakiś czas, przy okazji świąt czy imienin odbywały się liczniejsze zebrania towarzyskie, poprzedzane starannymi przygotowaniem, w których uczestniczyli wszyscy domownicy. Goście z przyjemnością przyjmowali zaprosiny, gdyż lubili i cenili atmosferę panującą u Konwických: wymieniali nowiny, nie rzadko rodziła się inicjatywa społeczna, później przechodząca w czyn, z góry cieszone się na mały koncert. Może też, mimochodem, błyskała myśl, jaki to smakolych na ich cześć, przygotowują gospodarze z Heleną i Maryną na czele. W takich uroczystych chwilach honory domu pełnił szarmancko Wuj Władysław (choć nawiasem dodam, że ogromnie nie lubił „uroczyście” się ubierać).

Wśród gości, którzy zaszczycaли swą obecnością owe spotkania na przestrzeni kilku dziesiątków lat (i... których nazwiska nie zatarły się w mej pamięci) byli: oboje doktorstwo Macieszowie, Brudniccy, Bajerowie, Czechowsy, Goszczyńscy, Askanasowie, Detrychowic, Kuhnowie, Hieronimostwo Zwadłowie, Tycowie, Thunowie, Dudzińscy, Sabina Gruberska, Mazarakowie, Olszańscy, niezwykle muzykalni bracia Kowalscy, Banaszkiewiczowie, Dunin-Wolscy, Piechowscy, Ziółkowscy... Kuzynka Ludka Wąsowicz przybywała ze swą przyjaciółką, ilekroć była ona w Płocku, Ludwiką Krasowską, późniejszą Nitschową, rzeźbiarką, autorką warszawskich pomników: Syreny i Prezydenta Stefana Starzyńskiego. Część koncertową uświetniali: sopranistka Czechowska przy akompaniamentie swego męża (inżyniera, założyciela Płockiego Towarzystwa Kolarskiego), pianistka Stanisława Dudzińska-Zeńczkowska (siostra Emila Dudzińskiego, przyjaciela Ojca późniejszego prezydenta Płocka) i utalentowana skrzypaczka Apolonia Askanasowa (matka Kazimierza, adwokata, działacza Towarzystwa Naukowego Płockiego).

Na gwiazdkę otrzymał Wacek łyżwy wraz z butami i zaczęło się szaleństwo sportowe. Blisko, na tzw. Placu Niemieckim znajdowała się dobrze zorganizowana ślizgawka, gdzie przygrywał zespół orkiestrowy.

Chłopiec szybko zdobył umiejętność poruszania się po lodzie. Był tak pochłonięty tą nową pasją, że nawet drogę do domu odbywa nie zdejmując łyżew i obiad zjadał „na łyżwach”, bo szkoda czasu. Niekiedy wraz z rówieśnikami odbywał, także na łyżwach, karkołomne wyprawy polegające na zbieganiu po ośnieżonej Górze Tumskiej, rozpędzaniu się i lądowaniu, hen, niemal na środku skutej „w fale” Wisły. Cud, że kończyło się to szczęśliwie!

Mijały lata wczesnego dzieciństwa i przyszedł czas rozpoczęcia nauki. Wacek został przyjęty do doskonale prowadzonej szkoły Szymańskiego. Dużo nowych wrażeń, nauczyciele, koledzy. Uczył się pilnie, miał dobre wyniki. Jednocześnie, oboje z Anią rozpoczęli systematyczną naukę gry fortepianowej, której podjęła się mieszkająca w tym samym domu, pani Brauner. Dzieci czyniły postępy, szczególnie Wacek. Poza obowiązującymi ćwiczeniami i utworami — „miał w repertuarze” pięćdziesiąt marszy we własnym układzie, które chętnie wykonywał! Po około dwu latach nauki pani Brauner stwierdziła lojalnie, że niczego więcej Wacka nie jest już w stanie nauczyć.

Nadeszły wakacje. W owym okresie nie było jeszcze mowy o skautingu, toteż chłopcy samorzutnie, pod wodzą nieco starszych kolegów organizowali się w zastępy uczniów, procarzy i innych specjalności i z nadejściem wiosny wykorzystywali wolne chwile, aby wyruszyć na bliższą lub dalszą wycieczkę po przepięknej płockiej okolicy (np. do parowów, na Kostrogaj, do Krzywego Borku, nad Jezioro Łąckie). Mimo groźnych akcesoriów nie czynili żadnemu stworzeniu ani roślinności szkody, przeciwnie, chronili przyrodę, np. zabezpieczając palikami mrowiska. Z radością chłonili piękno otaczającego krajobrazu, z uwagą spstrzegając pamiątki historycznej przeszłości.

Po trzyletniej nauce w mile zapamiętanej szkole Szymańskiego, potem Kokowskiego dziesięcioletni już Wacek przystąpił do konkursowego egzaminu do Gimnazjum Gubernialnego, a jedyne go w guberni, obecnie imienia Marszałka Stanisława Małachowskiego. Udało mu się zdać i, po wakacjach, w zgrabnym przepisowym mundurku i uczniowskiej czapce z pewnym onieśmieniem, ale i ufnością przekroczył próg zasłużonej uczelni.

W gimnazjum — zastał inny świat, wszystko jakby surowiej, ostrzej, dryll niemal wojskowy. Nauczyciele w większości — Rosjanie, Polacy nieliczni, otaczani byli przez wychowanków szczególnym szacunkiem. Obowiązywał język rosyjski, nawet religia była w tym języku, przy tym poziom nauki wysoki. W tych warunkach chłopcy (płocczanie i z okolic Płocka, synowie przeważnie ziemiaństwa, mieszkający na stancjach) wykazując nad wiek dojrzałość decydowali się natychmiast na podjęcie nauki języka i literatury polskiej oraz historii ojczystej wraz z geografiami — na tajnych kompletach. Nauczania podejmowali się nauczyciele Polacy, podręczniki i lektury były z konspiracyjnych księgozbiorów.

Lekcje odbywały się w różnych porach dnia, np. wczesnie rano, przed zajęciami szkolnymi, w domach uczniów (u Konwických-Lachmanów także). Można podziwiać siłę woli i hart ducha nauczycieli i młodzieży!

Nauczycielem śpiewu i muzyki w gimnazjum był absolwent Warszawskiego Instytutu Muzycznego, Polak Antoni Marszewski⁴. Zauważył wyjątkowe zainteresowanie przedmiotem swego ucznia Lachmana i od czasu do czasu, powierzał mu prowadzenie chóru lub

orkiestry szkolnej. Można sobie wyobrazić przejęcie chłopaka, gdy stanął przy pulpicie dyrygenckim, frontem do często starszych od siebie kolegów... Młodzi ludzie, najpierw zaskoczeni, szybko zaakceptowali prowadzenie Wacka, z uznaniem i trafnie przeczuwając w nim artystę.

W gimnazjum istniał również kilkunastoosobowy chór cerkiewny złożony z kolegów Rosjan, prowadzony przez duchownego prawosławnego. W tym czasie utworzył się konspiracyjny chór koleżeński, pod kierunkiem Wacława. Na zbiórkach, w jego lub innego członka zespołu domu, ćwiczone polskie pieśni patriotyczne, prosto szarmonizowane i rozpisane przez młodego muzyka, a wykonywano je z okazji rocznic narodowych, nie rzadko na polanach śródleśnych, przed rozentuzjonowanym gronem zebranych. W usposobieniu Wacława kształtowały się wyraźnie cechy, już dawniej zauważane, które będą stanowiły istotę jego charakteru na wszystkie dni dorosłego życia: delikatność, skromność, duże poczucie humoru, a przy tym obowiązkowość, pewność słusznie obranej drogi, odpowiedzialność za innych i stanowczość jeśli chodzi o sprawy artystyczne. Miał jakiś niezwykły w sobie poryw, jak stwierdzali koledzy i cieszył się wśród nich dużym autorytetem.

Wszelkie te poczynania szkolne, patriotyczne i artystyczne Wacka oceniał właściwie Wuj Nowowiejski, poczuwając się do opieki nad młodziutkim krewniakiem. W porozumieniu z najbliższą rodziną postanowił przedstawić go księdzu Eugeniuszowi Gruberskiemu, absolwentowi uczelni muzycznej w Ratyźbonie, profesorowi Płockiego Seminarium Duchownego, utalentowanemu kompozytorowi i dyrygentowi. Wacek zgodził się na to, z ciekawością. Doszło do spotkania, które zaowocowało niezwykle korzystnie. Ks. Gruberski poprowadził dalszą edukację muzyczną Wacka widząc z satysfakcją, iż przynosi ona doskonałe efekty, zaś najbliżsi, a przede wszystkim sam uczeń, uszczęśliwiony, chłonął umiłowaną wiedzę muzyczną — grę fortepianową, również organową, dyrygenturę i teorię. Ks. Gruberski z chórem seminaryjnym, wspartym amatorskim zespołem chóralnym opracował i wykonywał dzieła muzyczne dużego formatu. Ten nauczyciel był dla Wacka wzorem wysokiego morale i wszelkich zalet artystycznych. W późniejszej twórczości i działalności Wacława pobrzmiwały trwale echa wskazań i działań Mistrza.

Pracy miał młody człowiek co niemiara: zajęcia w szkole (duże wymagania), równoległe kontynuacja nauczania konspiracyjnego, pasjonujące studia pod kierunkiem księdza Gruberskiego, parę korepetycji zarobkowych, z których wywiązywał się sumiennie, dalsze prowadzenie chóru koleżeńskiego. Starał się wszystkiemu podolać. Niekiedy wpadał bardzo rano przed wszystkimi zajęciami na chór w kościele farnym lub w katedrze, by pograć chwilę na organach, pozwalał sobie poimprowizować — co dawało mu poczucie spokoju i radość.

Kiedy otrzymał wymarzony rower, ...nie stał on beczynnie. W czasie dużej przerwy przybiegał do domu, od razu udawał się do jadalni i podskakiwał (nie był jeszcze tak duży!) do wierzchu podręcznej szafki, na której Babka zostawiała dla swego „oczka w głowie” — bułkę z serdelkiem i po spałaszowaniu z apetytem, znów biegł do szkoły.

Mimo wszystko nie udało się Wackowi uniknąć „zimowania” w jednej z klas, bodaj czwartej — z po-

wodu greki, choć i potem stwierdzał, że klasyczny grecki jest językiem wyjątkowo dźwięcznym. W tym samym roku „zimowali” również bracia Koziorowscy (Broniek był klasowym kolegą Wacka), zagorzali melomani... Wacek miał skrupuły, że to przez niego się stało, co było w dużym stopniu prawdą. Na szczęście, wszyscy trzej Koziorowscy wyrosli na wspaniałych ludzi.

Władze gimnazjum wymogły na swym zdolnym wychowanku obowiązek grania na organach w katedrze w czasie nabożeństw z okazji tzw. galówek. Młodzież nie lubiła tych uroczystości, wręcz je bojkotowała. Pewnego razu inspektor szkolny zwrócił się, poprzez wychowawcę, aby Lachman grał w czasie obchodu najbliższego święta, ten jednak nie miał zupełnie na to chęci. Zwolnił się u wychowawcy tłumacząc się zaziębieniem. Ku zdziwieniu domowników, rankiem w dniu święta przybył osobiście sam inspektor do Lachmanów, prosząc aby uczeń jednak zgłosił się. Wacek na przedce okręciwszy szyję szalikiem, jeszcze raz poprosił o zwolnienie z tego udziału, a za chwilę Babka, w sposób jak zwykle dostojny potwierdziła, iż Wnuc istotnie nie czuje się zdrowy. Wydawało się, że sprawa całkowicie załatwiona. Tymczasem, za chwilę podjechała pod dom dwukonna karetka, sprowadzona przez inspektora, który bardzo uprzejmie i troskliwe domagał się, by muzyk nie narażając swego zdrowia, udał się niezwłocznie, karetą na nabożeństwo. Wacek rad nie rad, pojechał. Nabożeństwo przebiegało spokojnie, ale gdy przyszło do zaintonowania hymnu „Boże cara chrań!” — niespodziewanie koledzy przyszli z pomocą. Mianowicie, zaczęli wydawać z siebie takie wycia i piski, iż inspektor chcąc, aby nie doszło do skandalu, zaczął gwałtownie i rozpaczliwie dawać znaki Wackowi, będącemu na chórze, aby już nie grał drugiej zwrotki!

Gdy Wacek ma piętnaście lat umarła mu Matka. Trzeba było jednak żyć dalej i to jak najgodniej. Płynęły dalsze lata gimnazjalne pełne obowiązków, pracy, jednocześnie zapału młodzieńczego i radości. Nade wszystko zaś zgłębiania tajników muzyki, którą Wacław odważał się już wówczas nazywać swoją dziedziną.

PRZYPISY

- 1 Matka Wacława, a moja Babka, Anna Lachmanowa była z domu Konwicka.
- 2 Seweryna z Grochowskich Konwicka, wdowa po Wiktorze uczestniku Powstania Styczniowego, Babka mego Ojca.
- 3 Anda Lachmanówna poślubiła kolegę szkolnego Wacława, Tadeusza Kurkiewicza, późniejszego profesora Akademii Medycznej w Poznaniu. Ich syn, Tadeusz -Jerzy Kurkiewicz zginął w 1939 r. w bitwie nad Bzurą.
- 4 Maruszewski Antoni-Wincenty, urodzony w Płocku, absolwent Instytutu Muzycznego w Warszawie, uczeń m.in. Apolinarego Kątskiego, skrzypek, pedagog, dyrygent.